

Brandstaetter. Powroty do źródła [TPCT 510]

Wierność źródłu u Brandstaettera jest postawą egzystencjalną: wracać, by nie zdradzić siebie; słuchać, by nie zdradzić prawdy; mówić oszczędnie, by nie zdradzić sensu. Jego most między dwoma brzegami Objawienia (tym Starym i tym Nowym) zdaje się drogą powrotu, którą spieszył o własnych nogach, czasem z trudem, wątpliwościami, niekiedy poobijany, jak Jakub po nocnym zmaganiu.

Wszystkim znana jest słynna fraza Alfreda Whiteheada, który stwierdził, że europejska tradycja filozoficzna składa się z szeregu przypisów do Platona. Bardzo to zgrabne sformułowanie, ba! błyskotliwie prawdziwe! Niemniej jednak, wydaje się, że uzupełnienie go mniej znanym (zdaje się, wyrastającym niezależnie) spostrzeżeniem ma również sens: „Wszystkie książki, jakie przeczytałeś w życiu, są tylko nieudolnym komentarzem do tej jedynej Księgi” – te słowa dziadka Marka Dawida usłyszał młody Roman Brandstaetter. Uznał za swój duchowy testament. Można powiedzieć, że autor czterotomowego „Jezusa z Nazarethu” należał do tych, którzy próbują dopisać swoją biografię do tej jednej Księgi. Co więcej, że była to stała praca u źródeł, wraz z nimi. Skłaniała go także stały motyw: powrotu. To właśnie wracanie do początku, żeby nie zgubić końca i dlatego w tym sensie syn marnotrawny stawał się potężną figurą tożsamości: człowiek zagubiony wraca nie tylko po przebaczenie, ale po imię. Szczególnie ten poszukujący, rozpięty w między doświadczeniami, a także doświadczający lekcji XX wieku.

„Ciągle mnie pasjonuje motyw powrotu, powrotu do siebie, wierności sobie” - powiedział w jednym z wywiadów. Można szybko dostrzec, że to zdanie ma w sobie coś z rachunku sumienia. Wierność sobie u Brandstaettera jest swoistą wiernością prawdzie o sobie, która skrywa się gdzieś we wnętrzu, do której niekiedy trzeba klucza. Chyba nie jest przypadkiem, że ten motyw przybiera u niego tyle wariantów: dramat, poezja, proza - jakby jedna forma nie była w stanie unieść ciężaru, czy też wytrzymać temperatury tego zagadnienia. Powrót syna marnotrawnego - zdaje się kluczowy w całej sekwencji - to oczywiście dobrze znana opowieść o arcytematach: o winie i łasce, ale nabiera też jeszcze innego odcienia: próby rozpoznania własnej tożsamości.

„Trudna jest droga powrotna. Zawsze wraca się inną drogą niż tą, którą się wyszło. Na powrót trzeba zasłużyć i trzeba wrócić innym, lepszym i bardziej prawdziwym. Trzeba upaść, synu mój, by wrócić. Trzeba być synem marnotrawnym” - mówi do nas Rembrandt w dramacie *Powrót syna marnotrawnego*, ale kto wie czy nie kryje się za nimi sam autor?

Tu dotykamy sprawy, która wprowadza w całe pisanie Brandstaetter, którym jest także motyw głosu, który kształtuje osobowość człowieka. Brandstaetter w jednym z wywiadów mówił o „motywie głosu, głosu ludzkiego, Biblii jako głosu Bożego”. Można dostrzec tę konkretyzację, która sprowadza też sprawę z abstrakcji do konkretnego, bowiem głos jest zawsze czyjś, zawsze osobowy. Można dyskutować z tezą, można ją poprawiać, można ją obejść, jednak głos trudno pozostawić bez odpowiedzi, domaga się reakcji. Biblia w tym rozumieniu staje się wydarzeniem dialogu - rozmowy między Bogiem i człowiekiem. –Wiara rodzi się ze słuchania” – powiada św. Paweł w Liście do Rzymian, a zatem formacja duchowa jest formacją płynącą z postawy otwarcia na

głos. W tym kontekście Brandstaetter zdaje się mówić: jeśli piszę, to nie po to, by zastąpić Objawienie, lecz by nauczyć się je słyszeć i pomóc innym je usłyszeć.

To dlatego Brandstaetter tak często wprowadza motyw zmagania z Bogiem. Wiara jest dramatem czuwania. „Boję się ludzi nie przeżywających sprzeczności” – zauważa, jakby ostrzegał przed duchowym samozadowoleniem. Wątpliwości „oczyszczają człowieka z pychy”, prowadzą do głębszej pokory. Tu leży jedna z jego najbardziej współczesnych intuicji: największym wrogiem wiary nie jest pytanie, niepewność, tylko swoista *hybris*, która zna już odpowiedzi, nie cofa się przed ich polityczną egzekutywą. W tych rozważaniach słychać echa dwudziestego wieku, czasu totalitaryzmów i obawy przed słynną Voegelinowską immanentyzacją eschatonu.

Dlatego być może właśnie na końcu tej drogi stoi jego eschatologiczna czujność: przekonanie, że historia ma sens nie za sprawą „postępu”, lecz sądu, który jest owocobranie. *Dzień gniewu* zaznacza powagę aktu: nic nie ginie, wszystko ma wagę, każde słowo ma konsekwencję. Stąd jego twarda lekcja odpowiedzialności pisarza: słowo kształtuje sumienie, a więc nie jest niewinne. A jednak Brandstaetter potrafi też wypowiedzieć gorzką prawdę o granicach literatury: „literatura może zmienić człowieka, ale nie ludzi”. Może dlatego jego pisanie tak uparcie wraca do źródła: jeśli nie zmieni „świata”, niech przynajmniej ocali w człowieku zdolność słyszenia.

Wierność źródłu u Brandstaettera jest postawą egzystencjalną: wracać, by nie zdradzić siebie; słuchać, by nie zdradzić prawdy; mówić oszczędnie, by nie zdradzić sensu. Jego most między dwoma brzegami

Objawienia (tym Starym i tym Nowym) zdaje się drogą powrotu, którą spieszył o własnych nogach, czasem z trudem, wątpliwościami, niekiedy poobijany, jak Jakub po nocnym zmaganiu. Brandstaetter zdaje się obrazować, że powrót źródeł jest nieodzowny, jeżeli chce się przebywać w Obecności. Jeśli wszystkie książki są komentarzem do tej jednej Księgi, to jego prace z pewnością pomagają usłyszeć Głos, który woła nas po imieniu.

Jan Czerniecki

Redaktor naczelny

Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień” [510]: Brandstaetter. Powroty do źródła [TPCT 510]